



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5; rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Z dymem pożarów, szerzących się nieustannie, nawiewa wiatr kwestyą, którą rozwiewa także po pewnym czasie, ciska nią w oczy nieopatrzonym ludziom, jako przestrożę i przypomnienie, a potem w inną skierowuje się stronę, nie dbając więcej o to, co ludzie zrobią.

O tej kwestyi mówiłem w ostatnim swoim feiletonie i jeszcze raz zmuszony jestem do niej wrócić, choćby kilkoma tylko słowy; wspominałem o spaleniu się całego Jedlińska, któremu trzeba spieszyć z pomocą, popierając działanie komitetu ratowania pogorzelców i usiłowania zabiegliwej i energicznej redakcyi *Gazety radomskiej*, bo... już pośród gruzów zagościł tyfus, i ospa, i błonica, a gdy przyjdą jesienne ślody i chłody, ci biedacy bez dachu skazani będą na cięższą jeszcze klęskę przeróżnych chorób, których rozsądnikiem może się stać spalona osada.

Ale nie o tej jednej sprawie chciałem mówić, tylko z jej powodu powtórzyć trafne uwagi, jakie znalazłem w *Gazecie Polskiej* o środkach zabezpieczenia na przyszłość ludności wiejskiej od pożarów.

Autor „Wędrowki tygodniowej“ w rzeczonym piśmie utrzymuje słusznie, że dotychczasowa budowa chałup włościańskich, lepiątek słomą krytych, stawianie ich w jednej linii, nagromadzanie razem w jednym miejscu, staje się najczęściej przyczyną takiego gwałtownego rozszerzania się klęski na wypadek pożaru. Płomienie niepowstrzymane niczem, przeskakują swobodnie z jednej strzechy na drugą i znajdując zwykły materiał łatwo zapalny, roznoszą pożogę z jednego krańca wioski na drugi.

Gdyby zabudowania te stały więcej rozrzucone, w większych od siebie odległościach, gdyby je przedzielały ogródki, a choćby drzewa, jako naturalna przegroda, ogień nie tak łatwo przedostawałby się z jednego domu na drugi i nieszczęście sąsiada nie groziłoby całej gminie.

Cóżby tedy zrobić należało?... należałoby wpływać na odmienny sposób budowania i zabudowywania się wiosek naszych, należałoby stopniowo usuwać dzisiejszy stan rzeczy, wprowadzać w życie surowe przepisy na wypadek stawiania nowych budowli po pożarach i zaprowadzić podobną kontrolę budownictwa wiejskiego, jaka istnieje po miastach.

Drugim środkiem koniecznym jest tworzenie straży ogniowych obowiązkowo po wsiach, a do tych pompierskich oddziałów ochotniczych powinniśmy należeć wszyscy bez wyjątku młodzi, silni i zdrowi mieszkańcy danej miejscowości.

Pod okiem wytrawnego kierownika takie straż musiałaby odbywać peryodyczne ćwiczenia na wzór wojskowych i troszczyć się o utrzymanie w pogotowiu niezbędnych narzędzi ratunkowych, sikawek, któreby nie istniały dopiero w projekcie, beczek, w którychby nie kwaszono tymczasem kapusty i ogórków i któreby się nie rozsychały, bosaków i wiader, którychby nie używano do pojenia koni w oczekiwaniu alarmu pożarnego.

Niezaprzeczenie te dwa środki są trudne do wykonania, jeżeli ich energiczna wola i nawet przymus prawny nie poprą; ale wobec stałego, ciągłego, powtarzającego się z roku na rok nieszczęścia, wobec szkód i strat, jakie co lato systematycznie się wydarzają, podkopując dobrobyt kraju, czyż można się wahać nad spróbowaniem przynajmniej reformy, tak ważny cel mającej przed sobą?

Zmienia się odwieczne przyzwyczajenia, nałogi, potrzeby, najbardziej konserwatywne urządzenia, z postępem czasu zaprowadza postęp we

wszystkich kierunkach: trzeba tylko chcieć i nie zrażać się pierwszymi przeszkodami.

Wzmianka o reformach nasuwa mi na myśl sensacyjną sprawę, która w tym tygodniu właśnie rozstrzyga się nad Bosforem — i aż o powagę sułtana się oparła.

Oto minister policyi w Konstantynopolu wystąpił niedawno z energicznym okólnikiem do wszystkich wyznawczyń Mahometa i przyszłych aniołów siódmego nieba, aby tu na ziemi nie gwałciły przepisów proroka i nie ulegały wpływom Zachodu, przyjmując coraz więcej w ubraniu krój i modę z żurnalów paryskich.

Śmiałe reformatorki kobiecych strojów odważyły się wprowadzić tylko wieczorami wychodzić na ulicę, przybrane w kostium zbyt europejski a zamało wschodni; ale zagorzali konserwatyści wśród softów i ulemów wysledzili ową herezyą i znieważenie przepisów religijnych potępił z prawowiernem oburzeniem.

Idąc po nitce do kłębka, przekonano się, iż owe postępowe zakusy najwięcej w sferze wyższego towarzystwa się objawiają, że to żony dostojników państwowych zaprowadzają modę francuską w Stambule; przyparci do muru mężowie, na swoją obronę wykryli jeszcze gorszą herezyą, oświadczyli bowiem ministrowi policyi, iż ich żony naśladują w tym względzie tylko... przykład odalisk z haremu sułtańskiego.

Musiął się w tę zawikłaną i coraz drażliwszą sprawę wdać sam wielki wezyr; wytoczono ją wreszcie przed sułtana, który w pierwszej chwili chciał najsurowiej ukarać swe faworyty, ale — „my rządźmy światem, a nami kobiety“ — powiedział wprawdzie podobno Ludwik XIV, nie żaden Mahomet, jednak i w państwie Mahometa ta maxyma jest stwierdzaną oddawna.

Rozgniewany padyszach dał się ulagodzić, a co więcej: pozwolił się przekonać, że reforma jest konieczną, wybrał przeto komitet złożony z dziecięciu swoich żon, obdarzonych najlepszym gu-

stem i polecił im w przeciągu miesiąca wygotować modele zreformowanego stroju kobiecego z uwzględnieniem prawa i obyczajów Islamu z jednej, a nowoczesnych wymagań europejskiej mody z drugiej strony.

W tym właśnie tygodniu upływa termin tego konkursu i sułtan w towarzystwie komisji, złożonej z urzędników pałacowych, orzeknie, oile da się zmodernizować wschodni strój mahometanek.

Ce que femme veut, Dieu le veut; nie wiem, jak to brzmi poturcku, ale od jutra to przysłowie powinno być powtarzane nad Bosforem tak samo, jak nad Sekwaną.

Po tem zboczeniu ku dalekiemu Wschodowi, powracam znowu na grunt swojski, na którym, niestety, znajduję kwestyą wcale nie zabawną, jaką od kilku tygodni zajmują się już nasze dzienniki, mianowicie kwestyą gromadnego wychodźstwa, stojącą dziś na porządku dziennym, taksamo w Królestwie, jak i w guberniach zachodnio-północnych.

W ostatnich czasach przychodziły coraz częściej pogłoski z Łodzi i jej okolic o ruchu emigracyjnym pomiędzy ludnością robotniczą; obliczają, iż około pięciu tysięcy osób porzuciło kraj i udało się za Ocean, głównie do Brazylii, a mnóstwo innych przygotowuje się jeszcze do tej dalekiej podróży, która ma być — wyprawą po złote runo.

Jacyś niewidzialni, ukryci, bardzo zręczni poddawiacze, kręcą się w sferach robotniczych, około fabryk i warsztatów, rozrzucają drukowane odezwy, werbują wychodźców, działając na ich chciwość, łatwowierność i wyobraźnię rozpowiadaniem niestworzonych rzeczy o tym brazylijskim raj, w którym wszystkiego w bród, po uszy, tylko ludzi brak, aby zgartywali te porozrzucane skarby natury.

Agentom chodzi o zbalamucenie jaknajwiększej liczby ofiar i dostarczenie statkom parowym pasażerów, komisji kolonizacyjnej za Oceanem osadników, którzyby dziewiczą ziemię w pocie czoła uprawiali i szli w niewolę ciężkiej pracy za lichą zapłatę.

Potworny proces handlarzy białych niewolników, który się rozegrał w Wadowicach przed kilkoma miesiącami, wykrył cały ten amerykański szwindel i wszystkie nadużycia, jakich się dopuszczano z nieświadomym i obalamucanym ludem, pędzonym jak stado bydła na rzeź, za morze, daleko, na zmarnowanie...

Coś podobnego powtarza się i u nas obecnie.

Ludność fabryczna ulega namowom, porzuca zarobek, dom, rodzinę, wyprzedaje swoje ubogie mienie, wyniszcza się i goni za uludną nadzieją poprawienia sobie losu na drugiej półkuli świata, wierząc niesumieńnym agentom, którzy w różowych kolorach przedstawiają łatwość zarobku i możność zbgacenia się w Brazylii.

Tymczasem w owym wymarzonem Eldorado, gdzie ziemię darmo rozdawać mają przybyszom, gdzie zboże dziko rośnie, kawa w całych lasach kwitnie, zwierzyzna na zawołanie przychodzi, gdzie niema żadnych podatków, żadnych ciężarów i trzeba tylko zbierać złoto całymi garściami — czeka na łatwowiernych okropny zawód, który kończy się ostatnią nędzą, albo i śmiercią na obczyźnie.

Trudno się dziwić, że pewna ilość ludzi wykołejonych, bez zajęcia i zarobku, zrozpaczonych i niemających wiele do stracenia ryzykuje swą przyszłość i próbuje szczęścia za morzem.

— Czy tu zmarnieć, czy tam, wszystko jedno! — powiadają sobie i z nadzieją tonących rozbitków chwytają się podstawionej brzytwy; jednak za ich przykładem idą i inni, którzy tu mają los zapewniony, mają własny kawałek chleba, zarabiają dość na swoje utrzymanie i swoich rodzin.

Korrespondenci z Łodzi opowiadają, że porządni nawet i dostatni robotnicy, tkacze, ślusarze, mechanicy, kowale i rzemieślnicy wszelkiego rodzaju rzucają fabryki i warsztaty, wyprzedają się i wynoszą do Brazylii, złudzeni obietnicami... złotych gruszek na wierzbie.

Zdarzają się także lekkomyślni i niesumieńni zarazem, którzy popełniają nadużycia, okradają

swoich chlebodawców, spieniężają cudze narzędzia i materiał, aby zdobyć środki na wyjazd a potem chyłkiem wynoszą się za granicę.

W korespondencyach do *Gazety Radomskiej* znalazłem obok opisu tej epidemicznej gorączki, która opanowała ludność roboczą w Łodzi, także i przypuszczalne powody tego zniechęcenia do dalszej pracy w kraju i pozostania na miejscu. Jakkolwiek niektórzy fabrykanci w ostatnich czasach podwyższyli nawet płacę, aby zatrzymać nieopatrnych ochotników wychodźstwa, środek ten nie na wiele się przydaje, a mianowicie dlatego, że robotnicy stracili zaufanie do stosunków miejscowych, do chlebodawców swoich i do warunków poprawienia sobie bytu.

Niedawne to przecież czasy, gdy skutkiem zastojów około 4000 robotników bez chleba i pracy wałęsać się musiało beczynnie po ulicach polskiego Manchesteru; innym o 40% obniżono zarobek, pozostawiając im wolność opuszczenia fabryki i zajęć codziennych; jeszcze innym, gdy się zgłaszali sami z prośbą o robotę za połowę ceny, dano odpowiedź wprost odmowną, i to w formie szorstkiej i bezwzględnej.

W tych warunkach ziarno namowy emigracyjnej znalazło grunt dla siebie podatny; zjawili się z pokuszeniami zagraniczni agenci i zaczęli w mętnej wodzie ryby łowić.

Przeciwdziałanie jest trudne, bo poddawiacze mają argumenta, które w danych warunkach łatwiej trafiają do przekonania źle uprzedzonych.

— Tutaj zarobku pewnego i wielkiego nie macie — powiadają — dziś wam podnoszą płacę, żeby was omamić i załapać, a potem znowu zniża. Dzienniki, książki i inni ludzie starają się was zatrzymać w interesie fabrykantów, są bowiem przez nich przekupieni, aby odciągali robotników od wyjazdu, bo im mniej będzie rąk do pracy, tem drożej trzeba będzie za nią płacić i tem trudniej przyjdzie prowadzić fabryki i warsztaty. Jednak co was to może obchodzić? bliższa koszula ciała: wyscie powinni dbać przede wszystkim o swoje dobro; tu niczego się nie dorobicie zaś w Brazylii będziecie panami na własnym gruncie, będziecie posiadaczami ziemi, plantacyi, folwarków bez grosza kapitału, zadarmo i jeszcze wam dadzą bilet wolnej jazdy na statku parowym.

Rozumie się że prostaczkom takie słowa smakują, dają się łapać na nie, jak na plewę, i jak owce Panurga skaczą w przepaść całymi stadami.

Nie tylko robotnicy i rzemieślnicy, majstrowie i podmajstrzy, ale i włościanie ulegają temu szkodliwemu prądowi, który porywa nam ludzi pojedynczo i w licznych rodzinach.

Z powiatów nadgranicznych, zwłaszcza w gubernii Kaliskiej i Płockiej, zamożni nawet włościanie, posiadający własne osady, pozostawiają na roli żony, krewnych lub dzierżawców, sami zaś z gorączkowym pośpiechem udają się za morze. Rzemieślnicy zwiążają warsztaty, parobcy sprzedają krowy, trzodę, chudobę całą i, zostawiając żonę, dzieci na łasce krewnych lub obcych ludzi, idą na daleką wędrowkę... „za chlebem“.

W powiatach mławskim, ciechanowskim, rypińskim i lipnowskim znać już szczyrby w ludności; toż samo donoszą z gubernii grodzieńskiej i kowieńskiej; w niektórych miejscach podobno, jak w Białymstoku, zabrakło sił roboczych po fabrykach, więc musiano sprowadzić zamiejscowych robotników z Łodzi i z innych miast.

Prassa, duchowieństwo, w ogóle intelligencja powinna wszelkimi siłami odwozić opętanych prostaczków od pokuszeń, które im niesumieńni poddawiacze podsuwają, wyszukując biedaków i narażając ich na niechybną zgubę.

Kiedy tak na prowincyi wicherzy szkodliwy wiatr w sferach robotniczych, Warszawa daje dobry przykład opieki i troskliwości nad tą klasą; przed kilku dniami otwarto przy ulicy Czerniakowskiej trzecią tanią kuchnię, na której urządzenie właściciele okolicznych fabryk złożyli z dobrowolnych ofiar 1.160 rs., resztę zaś do wysokości 3.000 rs. dołożył na własne ryzyko oddział tanich kuchni, byle tylko liczna ludność robotnicza i wyrobnicza w tej dzielnicy znalazła tani, zdrowy i obfity posiłek, w tym jadalnym zakładzie.

Trudno rzeczywiście o niższe ceny, skoro cały obiad, złożony z zupy i mięsa, pieczeni z jarzyną i chleba, kosztuje tylko 20 kop., porcja mleka gotowanego 3 kop. kawy 4 kop., krupniku, grochówki, barszczu na mięsie kcp. 5, chleba 1 kop. a trzeba dodać, że potrawy te są smacznie przyrządzone, ze świeżych wiktuałów i, co najważniejsza, czysto zrobione, schludnie zastawione w lokalu widnym, jasnym, przestronnym, a nie zabrudzonym, zaśmieconym i zadymionym, jak po zwykłych szynkowniach.

Z tego właśnie względu takie tanie kuchnie dla klasy pracującej ciężko są instytucją bardzo ważną, nie tylko jako higieniczne zakłady, ale jako umoralniające pośrednio; oprócz wody, herbaty, kawy i mleka nie dostanie w nich żadnych innych napojów. Jest czem ugasić pragnienie, ale niema nic na „zalenie robaka“.

Istnieje projekt urządzenia czwartej kuchni tego rodzaju na Lesznie, a dobrze-by było, aby i w innych dzielnicach, w okolicy warsztatów kolejowych, dużych fabryk na Pradze, powstały z czasem takie jadalnie, odciągające znaczną część roboczej ludności od knajp, w których się trwoni ciężko zapracowany grosz, rozpija, czas marnuje i wpada w zasadzki pokątnych szulerów, robiących od pewnego czasu istne oblawy na fabrycznych robotników i włościan, przybyłych na targi warszawskie.

Ten chłop grający w karty i puszczający swój grosz na hazard z szulerami po szynkowniach jest już postępem — w demoralizacji, która nań czyha u rogatk miejskich; dotychczas była to zabawka i namiętność panów, którzy umyślnie kluby w tym celu sobie pozakładali i marnowali majątki, ojcowizny, czas i dobre imię.

Jeżeli miasto ma w ten sposób oddziaływać na ludność wiejską, to lepiejby było, aby żaden chłop nie powstał nigdy na miejskim bruku.

W jednym z pism znalazłem ciekawą wiadomość o pewnej nauczycielce z Lublina, która, mając trochę grosza oszczędzonego, porzuciła zawód pedagogiczny i założyła sobie we wsi Krząńcian sklepik galanterijno-spożywczy dla włościan. Ta dzielna kobieta wpadła na dobry i praktyczny pomysł, godny naśladowania przez kobiety szukające dla siebie zajęcia i zarobku uparcie na bruku miejskim, na którym, niestety, chleba znajduje się coraz mniej, a rąk po niego wyciąganych coraz więcej.

O innym pomysłowym pedagogu doniosły również pisma; zebrał on gromadkę dzieci i urządził dla nich wakacyjną osadę wśród lasów i gór Św. Krzyżkich.

Za pięcioletniowy pobyt z całem utrzymaniem rodzice płacili od każdego chłopaka rs. 30. Przedsiębiorstwo widocznie się udało, skoro na przyszły rok projektowaną już jest taka wyprawa ze stoma malcami.

Pomysł podsunęty w sprawozdaniu z kolonij letnich przez D-ra Fritschego znalazł tedy praktycznego wykonawcę, a jeżeli przedsiębiorca pozyska sobie zaufanie, takie osady wakacyjne mogą mu się nawet dobrze opłacać i znaleźć wielu zwolenników. Rozumie się, nie mogą być zwyczajną spekulacją, na którejby moralne lub fizyczne zdrowie powierzanych dzieci szwankowało.

Wyjątkowo piękne i pogodne lato tegoroczne sprzyjało też niezwykle wszelkim willegiaturom dla dorosłych i niedorosłych; można powiedzieć, że udali się nam wakacje, czy-to w kraju, czy zagranicą, i że żal będzie wracać do dusznego miasta, które za jaki tydzień zaroi się już mundurkową młodzieżą i powracającymi „powietrznikami“.

Kończy się już pora kanikularnych nudów, słomianych wdowców i teatrzyków ogródkowych. Melpomena związać zacznie powoli swoje namioty i wynosić się z Warszawy, tylko Teatr Letni w Ogrodzie Saskim pozostanie wyjątkowym anachronizmem na całą jesień, a może i na zimę, jeżeli restauracja Teatru Wielkiego nie da się skutecznie w zamierzonym terminie. A jakoś na to się zanosi, pomimo prawidłowego prowadzenia robót przy przebudowie gmachu i wznoszeniu nowych budynków.

Ta przebudowa pod względem wygody i praktyczności zyskała wyraz uznania *a conto*, które dopiero po skończeniu dzieła otrzymać może potwierdzenie, gdy się znajdziemy w zrestaurowanej sali i przekonamy się, że jest w niej naprawdę widno, przestronno, że się dobrze w niej siedzi i słucha, wygodnie wchodzi i wychodzi, nie poci jak w łaźni tureckiej i nie zaziębia na przeciągach; pod względem estetycznym zaś już pierwszy i to poważny zarzut spotkał panów budowniczych, kierujących restauracją gmachu.

Odezwał się w pismach znawca ze wszech miar uprawniony do wyrokowania w sprawach sztuki i estetyki, znany zaszczytnie artysta, prof. Wojciech Gerson, krytykując usunięcie drugiego rzędu kolumn w perystylu frontowym Wielkiego Teatru; usuwają go nowi restauratorzy, aby przysporzyć miejsca dla publiczności na przyszedłym *foyer* pierwszopiętrowym, a usuwają rzekomo dla względów praktyczności, nie troszcząc się o krzywdę, jaką pięknym pomysłem pierwotnego architekta i projektodawcy tego wspaniałego gmachu wyrządzają.

Włoch Corazzi, który stawiał Teatr Wielki, postawił sobie w nim pomnik dobrego smaku a miastu zostawił ozdobę, jakiej nie jedna stolica mogłaby w Warszawie pozazdrościć. Owe podwójne rzędy kolumn, widoczne na frontonie gmachu sprawiały wrażenie piękne i imponujące zarazem; pomysł do nich wzięto z klasycznych wzorów greckiego stylu, z doby największego rozkwitu architektury hellenickiej, miały zatem swą racją bytu i należały do pięknej całości nieodzownie.

Corazzi wiedział, dlaczego je tam umieszcza, i zrobił dobrze, bo dla oka sprawił wrażenie estetyczne, bogate, wspaniałe nawet.

I teatr wielki z tą facyatą zubożała, zrabowana ze swojej ozdoby, będzie wyglądał, jak olbrzym któremu—powybijano kilka zębów z przodu.

„Zmiana dwóch szeregów kolumn na jeden—mówi prof. Gerson—jest cofnięciem rozwoju piękna wstecz o wieki całe!”

To nie, panowie budowniczowie ten zamach na styl i tradycję architektury klasycznej robią na własną odpowiedzialność; bo im się podobało... wybić zęby olbrzymowi.

„Zniszczenia fasady nie mogą usprawiedliwiać żadne względy rzekomego bezpieczeństwa od pożaru w budowli, która ma być oświetlona elektrycznością—pisze pan W. G. w *Kuryerze Porannym*—ani też względy dogodnej cyrkulacji, na której obmyślenie każdy mniej doniosły talent, niż Corazzego mógłby się i powinien był w granicach jego pomysłu zdobyć.

„Postanowienie o którym tu mowa, najdziwniej atoli wygląda wobec ustawy budowlanej z roku 1875-go, której rozdział trzeci, dział drugi, paragraf 181 najsurowiej zabrania niszczenia budowli pamiątkowych, nawet takich, które już w ruinę się zamieniają.”

Czyżby panowie anti-kolumniści, restauracja Teatru Wielkiego zajęci, nie czytali poprzednio tej Ustawy, czy też pozwalają sobie o niej zapomnieć?...

To byłaby ciekawa kwestya do zbadania.

Quis.

WALKA TYTANÓW

przez

J. Nitowskiego.

(Ciąg dalszy).

Kronos.

Jam nieśmiertelny i przed żadną mocą
Nie cofnę kroku. I w Tartarze jeszcze

Nie w mojej piersi zemsty nie wyziębi:
Najcięższe nawet męki i katusze,
Wiecznych chłodów ciągle dreszcze,—
Nic mię osłabić nie zdoła.
Zawsze z otechłani ponurę głębi
Tego, co tron mi wydarł, kłąć muszę.
A kiedy we mnie siły tylko tyle
Zostanie, ile na jedno westchnienie
Przedśmiertne trzeba, jeszcze ni na chwilę
Nie dam Zeusowi spokoju.
I ciągle żyjąc, ciąglem przypomnieniem
We śnie, jak widmo, straszyc będę wiecznie;
Nektar, co pije, na jad mu zamienię,
Godziny przeżyć nie dam mu bezpiecznie;
Wywołam wszystkich jego ofiar cienie
I niemi wkoło otoczę tron boży;
Będę go męczył, aż dumna pierś jego
Pryśnie w kawałki, jak urna strzaskana,
I u stóp moich na proch się rozłoży.
Do mnie, tu do mnie, hej, tytanie was woła!
Do mnie tu wszyscy, co w siłę tytana
I w siłę własną wierzycie!

Chór Tytanów (*nadlatując*).

Chmurą trosk nasze okryły się czoła...
Ach, dokąd pójdziemyż my?
Tam wichur jęczy na skały szczytów,
Tam dziko morze wyje
I matka ziemia tak drży!

Ocean.

Gdzież nasza siła, gdzież nasza moc?

Hyperyon.

Ach, tu tak ciemno dokoła,
Tu taka straszna noc,
Że nie śmiem podnieść czoła!

Kronos.

Ostatniej bitwy zbliża się czas;
Słyszycie? Upadł piorun z łoskotem:
Naprzód!

Hyperyon.

Ach, dokąd prowadzisz nas?

Kronos.

Na bój.

Chór Tytanów.

I cóż nam obiecujesz potem?

Kronos.

Męki Tartaru.

(*Odlatują wszyscy*).

Chór Dzieci Nocy (*przelatując*).

Cha, cha, cha, cha!

(*Wnętrze ziemi. — Sturęcy śpią*).

Ananke (*przepływając nad nimi*).

Ze snu wiekowej hańby i niewoli
I z upodlenia teraz budzę was!

(*Znika. — Sturęcy budzą się*).

I-szy Sturęki.

Lekko mi w duszy; już nie mię nie boli.
Rozkoszy dla nas nastaje czas.
Czuję moc w sobie: Zeus zdjął nam okowy,
W które nas plemię tytanów spętało.
Teraz się dla nas pocznie żywot nowy.
Dotąd uciechy zazналиśmy mało;
Użyjmy, bracia, nowego żywota!

2-gi Sturęki.

We krwi tytanów umoczymy ręce,
Do wnętrza trzew ich sięgniemy, a w gardło

Roztopionego nalejem im złota,
I przypatrując się olbrzymów męce,
Przypomnim szczęsne ich chwile,
Gdy niegdyś, blaskiem złota oblani,
Czas na uciechach trawili.

3-ci Sturęki.

Dziś, gdy zupełnie opadli na siłę,
Gdy przeciw bogom powstał tytani,
My żyć będziemy, dla nas od tej chwili
Nowe się życie poczyną.

Chór Dzieci Nocy.

Przychodzimy z Zeusa rozkazem.
Czemprędzej na Olimp z nami!
Do walki staniemy razem
I dumne tytanów plemię,
Wszystkich nieprzyjaciół boga,
W proch zetrzem jednym zamachem.

Sturęcy.

Bóg z nas gniołące od wieków zdjął brzemie;
My jego wrogów dziś będziemy postrachem.
Idźmy!

Chór Dzieci Nocy.

Tędy, tędy droga!

(*Podnóże Olimpu*).

Chór Tytanów.

Złotemi chmury owity tron
I we mgle skryte Olimpu czoło;
Nie widać żadnej drogi.

Kronos.

To Zeus, to on!
Widzę go, widzę, wokoło
Pomniejsze stoją bogi.

Ocean.

A na ich chłodnej posagowej twarzy
Taki się spokój odbija!

Kronos.

Ten spokój krew we mnie ścina,
Ten spokój mnie zabija.

Hyperyon.

Tam w chmurze złoty piorun się żarzy
I wkrótce na nas wypadnie.

Kronos.

Pelion na Osse, a z tamtąd na Olimp!
Prędzej, o bracia!

Ocean.

Prowadź nas, prowadź!

(*Bije grom, zjawiają się Sturęcy, potem Dzieci Nocy*).

Sturęcy.

Przeklęstwo tytanom! Naprzód na nich bracia,

(*Biją gromy*).

Chór tytanów.

Co robić mamy? straszne przyszły siły.

Kronos.

Walczyć!

Chór tytanów.

Zdejmuje trwoga serca nasze.

Kronos.

Na szczyt Olimpu! Czegóż się boicie?
Ja również jestem tu z wami,
Również skrwawione mam łono!
Tam na Olimpu szczytacie
Wszyscy będziemy bogami:
Teraz do walki!

Chór tytanów.

Już wszystko stracone!

Kronos.

Kto idzie z nami, kto? Naprzód do boju!

Ocean.

Nikt nam, niestety, z pomocą nie śpieszy.

(W górze przepływają Oceanidy).

Kronos.

Do was się zwracam, Oceanu córco,
Wy swoją pieśnią zaczarujcie boga
I w serca ojców waszych wlejcie męstwo!
Niech z tamtąd z góry
Choć jedna kropla tryśnie krwi wroga,
A przy nas będzie zwycięstwo!

Chór Oceanid.

My waszych pragnień pojąć nie zdolne,
Myśmy przywykli kochać, marzyć, śnić,
Bujać w błękitach swobodnie i wolne,
Bez trosk i cierpień żyć.
My przeczuwamy ledwie inne życie
I kraj, gdzie słońce zaświeci goręcej,
Gdzie stokroć lepiej, niżeli na szczytacie
Olimpu nawet — lecz nad to nic więcej.

I-sza Oceanida.

Jasną miłości rozpalny pochodnię,
By ojcom naszym wśród walki świeciła!

Kronos.

Grom nam przyświeca, dość dla nas blasku.

(Oceanidy znikają).

(Dokończenie nastąpi)

LETNIA WYCIECZKA.

Przekład

M. I.

Niebo takie błękitne, wietrzyk tak rozkosznie
zawiewa, człowiek radby, jak ptak, mieć skrzydła
i lecieć otwartą przestrzenią w nieznane okolice.
Koleje żelazne dały mu je poniekąd skrzydła
owe. Gdy para świni, lokomotywa ruszy, wio-
ski, miasta zostają w tyle poza nim, obrazy ich
migają mu tylko przed oczyma, a on pyta sam
siebie: gdzie się zwrócić, w którą stronę i jak
najlepiej użyć rozkoszy podróżowania?

— Jedźmy do Paryża — mówi sobie jaki taki,
a co przeczuć rozkosznego używania zamyka się
w tych paru wyrazach! Paryżkie teatry i tea-
tryki, paryżkie bulwary, wycieczki do Buloń-
skiego Łasku! Choćby dni były gorące, wie-
czory są zawsze chłodne i rozkoszne, dla tych
zwłaszcza, którzy umieją ich użyć, a dość na to
wyjść na Pola Elizejskie. Między trzema mirya-
dami lamp, co tu jest do widzenia!.. co miejsce
rozkosznego przepędzenia czasu i pokus ciągną-
cych do siebie! Kłopot mieści się tylko w wybo-
rze, dla tych szczególnie, którzy znajdują się tu

poraz pierwszy i chcą tak dobrze czas zużytko-
wać, aby ani jedna kropla rozkoszy nie pozostała
w kielichu. Bo i po cóż się tu przybywa, męcząc
się drogą i wydając na nią niemało pieniędzy —
porzucając dom wygodnie, wedle potrzeb naszych
urządzony i mieszcząc się w hotelach, w pokoi-
kach najętych?

Tak, do Paryża zwłaszcza, przybywa się na to,
aby używać. Młoda para, prowadząca się pod
rękę chodnikiem Pól Elizejskich, właśnie mówi
to sobie. On jest studentem z pierwszego kursu
w Eton; ona, siedemnastoletnia panna, jego sio-
stra, wierzy w mężką mądrość brata, starszego
od niej o rok cały, i gdy ciotka, pod której opie-
ką podróżuje ta para rodzeństwa, wysiadłszy
z wagonu, położyła się w łóżko, zmęczona drogą,
oni, żądni wrażeń i widoków Paryża, wybrali się
na przechadzkę. Tom prowadzi siostrę pod rękę;
ona, Laura, czując się doskonale bezpieczną pod
jego strażą, opiera się wygodnie na jego ramie-
niu i rozgląda się dokoła, a co tu ludzi, co po-
wozów, co cukierni i kawiarni!..

Razem tworzy to dla nich obraz niewypowie-
dziane rozkoszny, — a znajdują się teraz właśnie
przed Alkazarem, z którego okien bije jasna lu-
na światła. Ktoby, patrząc tam, stanął po prze-
ciwnej stronie chodnika, mógłby widzieć na estradzie
postać śpiewaczki strojonej po-balowemu. Białe,
aż po ramiona obnażone jej ręce wycią-
gają się lub opuszczają z dramatycznym ruchem,
a publiczność, zachwycona jej mimiką i głosem,
którego dźwięki przedostają się na ulicę, bije za-
pamiętałe oklaski.

Młoda para zatrzymuje się tu, patrzy i słucha.

— Wejźmy — mówi Tom do siostry i pokazuje
jej napis, widniejący wśród rzesistego oświe-
tlenia.

— *Entrée libre* — czyta Laura i obraca na bra-
ta wzrok zadziwiony. — Czyż to może być, aby nie
płaciło się nic za słuchanie śpiewu i muzyki?

— Każdy coś pije lub przekąsi w takiej *Café*
chantant i za to słucha muzyki — odpowiada Tom
z pewną dumą ze swojej znajomości świata
i, zwróciwszy się ku drzwiom, wchodzi. Prowa-
dząc siostrę pod rękę, przesuwają się między rze-
dami krzeseł, mających przed sobą drewniane
pulpity, jak w kościołach do położenia książki.

Śpiewającą jest Dina Marx; arya z *La Camar-
go* zachwyca publiczność, podobnie jak Toma,
który klaska i woła: *bis!*.. wskutek czego śpiew-
ka zostaje powtórzoną, a brat i siostra są zaro-
wno zachwyceni, — co widać też na ich młodych,
wesoło rozjaśnionych twarzach, które w tym wie-
ku są rzeczywiście zwierciadłem duszy. W kolei
lat życie uczy człowieka zachowywać wrażenia
swoje dla siebie, lecz pierwsza młodość nie zna
tej sztuki i naprzeciwko siedzący, przystojny,
elegancko wyglądający pan widzi to zadowole-
nie brata i siostry, co zdaje się go bawić, bo
uśmiecha się niekiedy, ale bardzo nieznacznie,
gdyż jest to niezawodnie dobrze wychowany czło-
wiek z wyższych sfer towarzystwa, jak Laura
wynioskowała z jego twarzy i ruchów. Pali
papierosa, ale nie puszcza dymu w jej stronę.

Kelner przesunął się w tej chwili ku nim i Tom
pyta siostrę: co chce jeść lub pić? — Lody — od-
powiada Laura; ale kelner odzywa się prostackim,
prawie pogardliwym tonem, że niema lodów. Jest
kawa, piwo, likiery — dodaje i marszczy się, gdy
Tom zwraca się znowu do siostry z powtórzonym
zapytaniem. Minuty jego zdają się mieć wartość
luidorów.

— Każ dać kawy — mówi Laura i Tom każe
podać dwie porceje.

— Z rozkoszą wytargałbym tego zuchwalca za
uszy — szepcze siostrze, ale w tej chwili nowa po-
stać ukazuje się na estradzie. Jest to wyfraczony,
ufryzowany elegant w białych rękawiczkach,
z mnóstwem dewizek u grubego na palec złotego
łańcuszka od zegarka, i zaczyna śpiewać w wielce
ożywiony sposób arya z jakiejś operetki. Rod-
zeństwo nie może pochwycić znaczenia słów
i tylko na końcu każdej zwrotki słyszy powtarza-
jący się przyspiewek: „Le mari de Marie...”

Wkrótce pojawia się kelner z kawą i stawia ją
przed nimi, dwie wysokie szklance i parę ka-
walców cukru na małej fajansowej podstawce.

— Ile się należy? — pyta Tom niedbale.

— Sześć franków — brzmi odpowiedź — po trzy
franki za porcję.

Serce przestało nagle bić w piersi Toma. Wy-
chodząc, wziął do kieszeni pięciofrankówkę i, za-
wiając kawę, nie wyobrażał sobie, aby ta mogła
kosztować nawet połowę. Cóż teraz ma zrobić?
Ten gbur, który stojąc wyprostowany przed nim,
marszczy się już, że czekać potrzebuje, zrobi pe-
wno awanturę. Może go wezmą na policję: *mniejsza* już o niego, lecz co zrobi wtedy Laura?

Pot wystąpił mu na czoło.

— Lorcii — szepcze — mam tylko pięć franków
i kilka susów, a potrzeba sześciu franków. Mo-
gą mnie aresztować...

Laura błędnie. Drżącą ręką sięga do kieszonki
w żakietcie, potem wyjmując portmonetkę z kie-
szeni od sukni, — przecież razem nie może zebrać
franka. Tom patrzy jej na ręce z rozpaczą. Do
tego, co mu potrzeba, brakuje jeszcze pięciu *sous*!

Kelner stoi zmarszczony, jak Jowisz. Gniewa
go zwłoka; w spojrzeniu widać gniew i pogardę.

— Nie mamy więcej — szepcze Tom, wyciąga-
jąc ku niemu dłoń, na której leżą pieniądze. Tym-
czasem na scenie ukazały się trzy imościanki
i rozpoczęła się jakaś mimiczna farsa. Oklaski
wstrząsają salą; lecz rodzeństwo nic nie słyszy,
nie widzi nic prócz kata, stojącego przed nimi.
Ale, o cudzie! Tom zapuszcza nagle rękę w bo-
czną kieszeń kamizelki i wydostaje dziesięć *sous*,
które wspaniale oddaje kelnerowi, a ten ki-
wnąwszy mu głową z szyderycznym uśmiechem,
oddala się na koniec i Tom oddycha.

— Piekierne przejście — szepcze siostrze do
ucha, lecz ta już jest wesoła i uśmiechnięta. —
Wszystko jest dobre, co się kończy dobrze — od-
powiada mu i zdaje się, że bardzo uważnie patrzy
na scenę; przecież widzi, że ów jegomość zauwa-
żony poprzednio, a który zdaje jej się być Angli-
kiem, wciąż patrzy na nią. Nie jest to przecież
spojrzenie zuchwałe, któreby ją obrażało mogło.
Tak wzrok, jak cały układ nieznajomego okazuje
człowieka dobrze wychowanego.

— Pewno jest to Anglik i poznał w nas Angli-
ków — szepcze sobie w myśli; przecież zmija się
w tem z prawdą, bo czuje, że wzrok nieznajome-
go pociąga ka niej wcale co innego, niż jej naro-
dowość.

Lecz naraz próżne krzesła poza nią i Tomem
zostają zajęte. Nowoprzybyli są już niewątpli-
wie jej współrodacy, rozmawiają niemal głośno
w tej myśli, że ich nikt nie zrozumie i wszyscy
trzej palą jakieś ostre, nieprzyjemnej woni cy-
gara, których dym puszczają wprost przed siebie.
Gniewa to wielce Toma, ale są w miejscu, gdzie
rzecz jest dozwoloną, nie ma więc prawa oppo-
zyty i tylko postanawia zmienić miejsce.

— Przejdźmy na tamtą stronę — szepcze sio-
strze z poważną miną opiekuna i Laura nie śmie
mu powiedzieć, że wolałaby pozostać na miejscu,
bo jest w pobliżu ktoś interessujący ją bardzo.
Wstaje więc; Tom przeprowadza ją do bocznego
rzędu krzeseł, a że właśnie nastąpiła przerwa
w przedstawionej pantominie, zaczyna się roz-
glądać po sali. Sklepiony sufit zajął ją bardzo:
przedstawia dekoracją nieba, a drobne lampki,
ze srebrno białym światłem, naśladują tak dobrze
gwiazdy, że pokazuje to Tomowi.

— Patrz — szepcze — to tak, jak w rzeczywi-
stości.

Na dole ścisk, zamieszanie, upał i blaski ja-
skrawe, gdy w górze spokój i piękno czyste.

— Hi Monsieur! Hi Mademoiselle! — krzyknął
ktoś przed nimi, tak głośno, że brat i siostra
obracają się razem.

Kelner, lecz już inny, stoi przed nimi.

— *Vous ne consommez pas!* — woła, a Tom zmie-
szany, widzi, że cała sala ma zwrócone na nich
oczy.

— Czego on chce od nas? — pyta siostry.

— Nie wiem — szepcze Laura; zbladła i czuje,
że jest blizką zemdlenia, bo głos krzyczący: „*Vous*
ne consommez pas!... grzmi znowu, jeszcze gorzej
i niecierpliwiej, lecz, na szczęście, pomoc zjawia
się w postaci owego nieznajomego, w którym do-
myślała się Anglika. Skinął na kelnera, powie-
dział mu zeicha słów kilka, które on snadź po-
wtórzył kolledze swemu z pierwszego prze-
życia.

bo ten przenosi za młodą parą szklanki po wypitej kawie, objaśniając, że gość zmieniający miejsce powinien przenieść ze sobą naczynia po spożytym posiłku, jeżeli nie chce, aby go zaczepiono poraz drugi. Tom jest już tak rozgniewany przebytemi awanturami, że radby wyjść natychmiast, ale nie chce na siebie zwrócić uwagi i powiada to tylko siostrze do ucha; lecz w tej chwili nieznajomy podnosi się i wychodzi, a Tom naśladuje go z radością i, podawszy rękę siostrze, wyprowadza ją z sali.

— Nie złapiecie mnie tu już więcej, panowie Francuzi—mówi do siostry, lecz ta rumieni się nagle jak róża, bo oto spostrzega w przedśionku nieznajomego, którego teraz może nazwać dobroczyńcą.

— Tomie — mówi też żywo — powinieneś podziękować mu, że nas obronił od najprzykrzejszej już awantury wyprowadzenia z sali jako intruzów.

Tom uznaje, że rada jest dobrą.

— Tak powinienem podziękować mu, podziękować serdecznie — odpowiada i z kapeluszem w rękę zwraca się ku nieznanemu współziomkowi.

— Należy mi podziękować panu za pomoc, która zwłaszcza ze względu na moją siostrę była łaską prawdziwą—mówi, a nieznajomy zdejmując również kapelusz, kłania się dwornie zarumienionemu dziewczęciu i podaje rękę Tomowi.

— Jako współziomek starszy i doświadczeńszy, obowiązany byłem ratować pana — mówi bardzo przyjemnym, kontraltowym głosem, a potem z równą grzecznością pyta Laury: czy się nie bardzo przejęła i wzruszyła?—co daje początek wesołej i bardzo przyjemnie prowadzonej rozmowie, bo nieznajomy lekko i dowcipnie podżartowuje z Tomą i jego niedoświadczenia, przyrzeczem wsuwa i słowo nauki, że, towarzysząc siostrze, powinien być uważniejszym i znać miejsce, do którego ją wprowadza.

Tak przebywają całe Pola Elizejskie, aż do hotelu, u którego drzwi nieznajomy kłania się bardzo układnie Laurze i ściska za rękę z Tomem.

Młoda para śmiejąca się i wesoła, śpieszy na górę, opowiada ciotce przebyte wypadki, przyrzeczem Tom unosi się gniewem na Paryż i Paryżanów, na „bastly French“, ale Laura broni ich, przyrzeczem wsuwa słowo o nieznajomym. Nie można wątpić, że jest to człowiek dobrze wychowany, człowiek dobrego towarzystwa, i siedemnastoletnia gaska marzy o nim trochę, położywszy się spać—marzy, że go spotka jeszcze w Paryżu.

Byłaby to wielka przyjemność... myśli, rumieniąc się lekko, a w serduszkach kryje się nadzieja, że może i on pragnie tego, więc postara się, aby tak się stało. Tom mówił, że mają za miar zwiedzić nazajutrz Wersal, co i on im doradza, wskazując, o której godzinie najlepiej jest tam być... Gdyby spotkali się tam jeszcze.

Rumieni się na tę myśl i stara się usnąć jak najprędzej, aby jutro wstać wcześniej i nie spóźnić się—być ubraną na czas. I nie zasypia też poranku, a gdy tylko otworzyła oczy, pierwszym jej ruchem jest wyskoczyć z łóżka, odsunąć firankę i wyrzucić na świat. Cudowna pogoda i dziewczę jest tak wesołe, jak ptaszek.

Zaraz po śniadaniu rodzeństwo ubiera się i wychodzi, dążąc do celu podróży swojej, bo lepiej jest przybyć tam wcześniej, niż zapóźno. Omnibus, którym zamierzają jechać, wyrusza z miejsca o godzinie jedenastej, oni przecież są tam o wpół do jedenastej; ale to nic nie szkodzi, bo nie nudzą się bynajmniej, czekając na pobrażu Sekwany na rogu ulicy Luwru pod drzewami, gdzie też zatrzymują się i inne osoby, mające ten sam zamiar, co i oni. Zebrała się ich tam wkrótce gromada spora i Tom szepcze siostrze do ucha, aby pilnowała go się uważnie. Ogromny weliu, zaprzężony parą siwych koni, nadjeżdża na koniec. Tom wsadza najpierw siostrę, potem zabiera sam miejsce i patrzy już spokojnie, wesoło na przybywających współtowarzyszy wycieczki, i dla nadania sobie kontenansu, kupuje w dodatku jakąś gazetę radykalną, którą roznosiciele w bluzie częstują wszystkich, ogłaszając najcięższe z mieszczańskich się tam artykułów. Na koniec jedenasta bije na wieży pobliskiego ko-

ścioła, konduktor trąbi, woźnica siada na kozioł i ruszają.

Jadą wybrzeżem rzeki, pod drzewami, słońce świeci jasno, lekki wietrzyk wieje im prosto w twarz i mijają Luwr, Tuilery, których ruiny nie wywierają na nich smutnego wrażenia, ponieważ nie pamiętają dni ich minionej wielkości. Przebywają z kolei Plac Zgody, dalej Passy. Gdy przejechali most w Sèvres, następuje przystanek, gdyż dopręgają im trzeciego konia do omnibusu bo jedzie się teraz pod górę, mijając sławną fabrykę porcelany i piękne kłomby, które ją otaczają, a odtąd już oczy Laury pasą się wciąż wdzięcznym widokiem zieloności i prześlicznych, w rozmaity sposób zachwycających ją ogrodów i ogródków. Co kwiatów! jakie bogactwo barw i nieznanych jej odmian! Mijają jedną jeszcze wieś z podobnym widokiem i przybywają do Viraflay, a Tom zagląda na zegarek.

— Kwadrans na pierwszą—mówi do siostry—musi już być niedaleko?

— Zjemy najpierw śniadanie—dodaje—jestem głodny jak wilk.

Nakoniec omnibus przebywa rogatkę i wjeżdża w szeroką aleję, która prowadzi w stronę dziedzińca pałacowego. W pięć minut potem wysiadają na rogu ulicy i Tom coprędzej udaje się do restauracji dla pokrzepienia sił, których będzie mu potrzeba przy oglądaniu spodziewanych piękności i wzruszających pamiątek. Załatwiono się z tem prędko, ale w którą stronę obrócić się teraz? Laura pyta spotkanego na drodze żołnierza, a ten, z francuską galanterią dla dam, przewodniczy im aż do miejsca, gdzie najpierw wprowadzają ich do sali portretów marszałów Francji; dalej przechodzą do Galerii zwierciadlanej, oglądają łóżko Ludwika XIV; z kolei pokazują im prywatny apartament Maryi Antoniny. Przewodnik, któremu podoba się łagodna, skromnie dziewczęca twarzyczka Laury, objaśnia ją w miejsce drukowanego przewodnika, którego Tom zapomniał kupić, w którym miejscu u przedśionka pokoi królowej wymordowano gwardyą Szwajcarów, i dalej popycha ją nagle między dwa zwierciadła, umieszczone w rogu następnego gabinetu, w których ujrzała postać swoją—bez głowy! To było miejsce, gdzie według podania, Cagliostro miał przepowiedzieć Maryi Antoninie śmierć jej na gilotynie.

Laura czuje się bardzo wzruszoną; widziane przedmioty nabierają teraz dla niej żywszego interesu. Ale Tom płaci suto grzecznego przewodnika i wraca do Galerii zwierciadlanej, gdzie wchodząc, Laura oblewa się żywym rumieńcem, bo pierwszym przedmiotem, który tam spostrzeża, jest ich grzeciwy opiekun wczorajszy. Zapewne dojrzał zapłonienie się Laury, bo uśmiecha się leciutko pod wąsem i wita młodą parę, jak dawnych znajomych. Bywa tak zwykle, gdy ziomkowie spotykają się na obczyźnie i on pyta też młodej pary: czy już widzieli ważniejsze pamiątki pałacu i czy teraz nie chcieliby przejść do ogrodów, które są czarownie piękne i również te widzenia? Rodzeństwo przystaje na to, przewodnik nie jest już teraz potrzebny: we troje więc zapuszczają się w labirynt zieloności i kwiecia, a Laura czuje się zachwyconą.

— Jakże tu pięknie!—powtarza kilkakrotnie, a jest rzeczą widoczną, że sprawa to przyjemność jej nieznajomemu towarzyszowi. Rad jest widać, że to ładne i miłe dziewczę, nie jest jedynie elegancką lalką—że umie czuć piękno natury, więc posiada już pewien stopień poetyczności, co jedna go dla niej jeszcze więcej. Ze zna dobrze miejscowość, wybiera na odpoczynek bardzo miłą, cieniastą ustron, gdy Tom spostrzega nagle, że zapomniał wziąć cygarniczki. Tym razem już nieznajomy przyjść mu z pomocą nie może, bo pali tylko papierosy, ale Tom w inny sposób korzysta z jego obecności.

— Lorciiu—mówi do siostry—pozostań tu chwilę w towarzystwie pana, gdy ja tymczasem skoczę kupić sobie cygar. Nie zabawię dłużej nad dziesięć minut.

Zabawił przeszło dwadzieścia, ale Laura nie czuła, jak czas ten upłynął.

— Brat pani nie jest dość uważnym opiekunem, zostawiając panią z nieznajomym — rzekł

jej towarzysz bardzo poważnym głosem, skoro tylko Tom się odalił.—Jestem Gerald Craven.

— Kapitan Craven—dodaje, a Laura, jakkolwiek zmieszana tem, co powiedział, wdzięczną mu jest przecież za to, co uczynił, bo czuje teraz, że Tom postąpił nierozważnie, odchodząc. Chce też być również grzeczną i mówi mu swoje imię i nazwisko: Laura White z Whiteland, brat jej, Tomasz Angus, jest na pierwszym kursie w Eton, studjuje prawo.

— Jesteśmy zatem kolegami—odpowiada jej wesoło kapitan Craven. — I ja słuchałem prawa w Eton.

Tom wraca w tej chwili. Pali jakieś ogromne cygaro i zdaleka już woła na siostrę, że muszą zabierać się z powrotem, aby omnibus ich nie odjechał. Kapitan Craven protestuje i namawia, aby poczekano na pociąg kolei, który odchodzi o godzinie siódmej, ale Laura smutnie potrząsa głową. Nie mogą tego zrobić; ciotka, pod której opieką przybyli do Paryża, siada zawsze do stołu o szóstej i mogłaby być niespokojną, gdyby się spóźnili. Tom jest tegosamego zdania.

— Musimy jechać wkrótce—powtarza—musimy pilnować się omnibusu.

— Szkoda — mówi Laura naiwnie. — Tak-by było miło pobawić tu jeszcze godzin parę.

Nagle Craven wpada na nowy pomysł.

— Skoro państwo musicie jechać, to i ja jestem gotów uczynić to samo—woła.—Czy tylko będzie miejsce w omnibusie?

Laura jest tego pewną, namawia przecież, aby wracać nie zwlekając, bo ktoś może uprzedzić, ale teraz Craven zdaje się wahać.

(Dokończenie nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Kraków, w Lipcu 1890 r.

Podobnie jak jednostki, tak niemniej całe okolice, prowincye, duże obszary niekiedy, mają obyczaj wyrzekania na swe losy, stękania ciąglego, uskarżania się przy łada sposobności i bez sposobności, że im jest źle, bardzo źle, najgorzej zresztą, jak nikomu nigdy i nigdzie nie było... Takie usposobienie do wyrzekań, chętne popisywanie się z rzeczywistością, bądź urojoną, biedą posiada w wysokim stopniu prowincya cała podkarpacka. Wyrzekanie u nas, zaiste, na porządku dziennym...

Jeśli jednak i teraz popuścimy wodze wyrzekaniom, jeśli i dziś stękać nie przestaniemy na brak gości w naszych zajazdach, na brak konsumentów w sklepach, na odwracanie oczu turystów od naszych zabytków dawnej sztuki, bądź dawnego życia, to w istocie, tracić może niewdzięcznością wobec losów, wreszcie zaś, zbyt śmieszne już będzie.

Obecny sezon obdarzał nas tłumami przybyśców. Ciągnęli bliżsi, dalsi, najdalsi... Na brak przeto gości nie możemy, nie powinniśmy się uskarżać, chociaż wyrzekanie — u nas tu, jak powiedziałem, w obyczaju, omal nie we krwi... Zajazdy nasze zaludniały się i przeludniały, a nie mało było gwaru i życia, i ścisku na cichych ulicach miasta naszego.

Kto ciekaw, a do spostrzeżeń ochoczy, mógł zebrać podczas ubiegłych niedawno dni spory poczet typów, wzorów obyczaju, stroju; niemało cennych, charakterystycznych zwrotów językowych: wszystko zaś czerpał z obfitego materiału, bo ludzi różnych okolic wcale pokaźną liczbą gromady przesunęły się wciagu ostatnich paru miesięcy przez nasz rynek i jego stare, długie, ważne przecznice.

Maj i początki Lipca—to właśnie chwile gdy u nas rojno i gwarno było najwięcej.

Dziś — cisza w mieście. Lipiec dobiegł do końca; i najbardziej opieszali wyciągnęli z domowych kątów na szersze obszary, aby zaczerpnąć nieco świeżego powietrza do piersi zmęczonych, aby wpatrzeć się w oblicze przyrody, zawsze jednako wspaniałe, pełne wdzięku, niosące spokój wewnętrzny, równowagę nerwów, o którą dziś tak trudno na całym świecie. Wszystko więc co mogło, a nieraz co i nie mogło — podążyło poza rogatki. Wyludniło się miasto. Gdyby nie gromadki turystów — które, jak w obecnych dniach, są przeważnie cudzoziemcy — niemal pustynią byłby nasz rynek.

Ferye zabrały nam młodzież: szkolną od końca Czerwca, akademicką od dni paru zaledwie. Wśród zakładów odpoczywających nie odrzeczy wspomnień o wyższych kursach dla kobiet, które, jak wiadomo, od lat przeszło dwudziestu stoją jedynie pracą, poświęceniem, w znacznej części ofiarnością założyciela swego, D-ra Adryana Baranieckiego. Kursa te są umieszczone w gmachu Muzeum Techniczno-Przemysłowego, które również swe istnienie zawdzięcza inicjatywie, ofiarności bezbrzeżnej, pracy niczem niezrażającej się, skrzętnej zapobiegliwości, wspomnianego D-ra Adr. Baranieckiego.

W r. b. kursa owe wyższe dla kobiet były mniej liczne. Wydział tylko sztuk pięknych zgromadził tłumniesze nieco audytoryum, i większym też zapalem ku nauce przejęte. Na innych wydziałach miłośniczek wiedzy mniej się spotykało.

Zmniejszona trochę w roku ubiegłym frekwencya zapewne jest zjawiskiem przemijającym; zapewne nie powtórzy się: prawdopodobnie nie płynie ona ze źródeł poważniejszych, ze zniechęcenia naszych sióstr i córek do nauki. Tego nie przypuszczamy. Tyle się mówi popolicie o potrzebie wyższej wiedzy dla kobiet, tak się do niej wzdycha, iż niepodobna przypuszczać, by już jeno na słowach poprzestawano, a nie garniono się do katedr, gdy te specjalnie dla kobiet są urządzone a obsadzone nader starannie.

Sądźmy, iż rok przyszedł dostarczyć więcej chętnych słuchaczek. Zdarzają się bowiem lata głodu i lata urodzaju, lata posuchy i lata słoty.

Jak dalece założyciel i naczelny kierownik wyższej tej szkoły dla kobiet pilnie troszczył się szereg lat długi i troszczy się dziś o obsadzanie starannie katedr, jak wiele sił najlepszych umiał wpręgać do pracy w swym zakładzie, grupować około swych wykładów — świadczy księga, która wprędce wyjdzie, księga zawierająca całą historią zakładu, jedyne w swym rodzaju, oparte na ofiarności i poświęceniu pojedynczego człowieka, który jednak nie doczekał się dotąd, by społeczeństwo wspierało jego usiłowania. Brało ono co mu dawano, ale samo dotąd nie pomyślało o utrwaleniu bytu tej pożytecznej instytucji...

Z książki, o której wspominamy, damy dla *Bluszczu* sprawozdanie, wówczas gdy wyjdzie książka zpod prasy, co podobno wkrótce ma nastąpić.

Jeżeli obojętnie patrzymy na instytucje naukowe niemogące się z powodu braku środków utrwalić, jeżeli głód umysłowy skąpo zaspakajamy, — hojni natomiast jesteśmy, niekiedy aż do zbytku, dla nędzy materyjalnej. Hojność ta, podająca dłoń pomocną nędzy, zasługuje na najwyższe uznanie; równowaga wszakże wśród stosunków społecznych powinna się zachowywać.

W kilku latach świeżo ubiegłych około pięciu milionów reńskich z zapisów na cele nędzy i wielorakiej niedoli materyjalnej złożono, i wytworzono w mieście naszym fundacje filantropijne. Zapisy księcia Alexandra Lubomirskiego, zamieszkałego w Paryżu, który, nie czekając na godzinę zgonu swego, złożył milion franków na przytułek dla opuszczonych chłopców i drugi później milion dla dziewcząt zaniedbanych, i wyraził życzenie, by powstałe z tych sum instytucje wnet weszły w życie; zapisy zmarłych już Ludwika i Anny Helclów — mieszczan krakowskich — którzy ofiarowali około dwóch milionów guldenów na wzniesienie i wieczyste uposażenie domu przytułku dla chorych nieuleczalnych i rekonwalescentów — tworzą poważne summy, które

z kilkoletnimi odsetkami dobiegają do pięciu milionów. Pięknie to wszystko stwierdza budzący się duch ofiarności publicznej; wszakże spostrzegać się daje zbyt jednostronny kierunek dobrej woli i poczucia potrzeby czynienia coś gwoi ogólnemu dobru. Jednostkom ofiarującym tak hojnie swe mienie dla potrzeb cierpiącej ludzkości, widocznie niema kto wskazać, iż poza cierpieniami ciała — ducha cierpienia istnieją, iż nie tylko chlebem żyjemy, iż bez światła stosownego do potrzeb, nawet przy obfitym chlebie, życie marnieje.

Dziesiąta część tych zapisów użyta na cele oświaty wiele zbawiennych owoców przynieść-by mogła.

Szląk całe wieki czeka na szkołę zastosowaną do potrzeb swej ludności — i doczekać się jej dotąd nie zdołał. Pół miliona ileżby dobrego zdziałało nad Odrą... Bo u nas, chociaż miliony wydano na cele filantropijne, wszystko podawne, nie spostrzega się żadnej różnicy w zakresie stosunków naszych: legiony zgrzybiałych lub nieletnich żebraków, jak dawniej tak i obecnie, zalegają zarówno na naszych pięknych plantacjach, a niemniej trzymają w obłężeniu bramy domów... Może z czasem inaczej uregulują się te rzeczy: teraz notujemy to, co jest, a jest niedobrze.

Fundacya Helclów, o której wspominałem, przyozdobiła Kraków wspaniałym gmachem. Stał on wprawdzie zdala od środka miasta, na przedmieściu; niemniej jednak wspaniała kopuła kaplicy zakładu, zajmując środek gmachu imponująco wystrzela i dodaje niemało ozdoby miastu, szczególnie kiedy się patrzy na nie zdala, przybijając od zachodu.

Zakład rzeczony, wzniesiony na kończynach północnych przedmieścia Kleparza, zajmuje przestrzeń jedenastu morgów gruntu, którego część tylko zajmuje gmach główny instytucji, dwupiętrowy, o charakterze pomnikowym, o monumentalnych rozmiarach, murach i sklepieniach wyniosłych, trwałych, pozostała zaś część zajęła ogród warzywny i dziedziniec. Instytucya mieścić może sto łóżek dla rekonwalescentów a trzysta dla nieuleczalnych płci obojga. Liczba poważna, potrzebom i miastu i okolicy wystarczająca. Sale przeznaczone dla pracy, sale sypialne i infirmarye są tak obszerne, iż na każdą osobę przypada 6 metrów kwadrat. powierzchnia a 27 metrów sześciennych powietrza. Nie zapomniano o żadnych wygodach, nie przepuszczono żadnego warunku, mogącego pod względem higienicznym ulepszyć, podnieść zakład. Wyliczenie wszystkich ulepszeń niemożliwe; wspomniemy tylko, iż oprócz pralni ze znakomitą suszarnią bielizny, ogrzewaną kaloryferem, oprócz wybornie urządzonej izby do prassowania, są łazienki ogrzewane gazem, motor gazowy o sile dwóch koni, pompujący, wedle potrzeby, wodę studzienną lub deszczową do rezerwoarów, umieszczonych na strychach, z kąd zapomocą rur wodociagowych woda przechodzi do izb całego gmachu.

Cały budynek, ze wszystkimi oficynami i drógorzdnymi attynencyami, czyni wrażenie nader poważne; znać, iż, wznosząc fundacyą wiecystą chcieli i gmachom nadać cechę trwałości, któraby stawiła opór niszczącej dłoni czasu i wieki istnienia swego zdołała liczyć tak, jak wiecystym jest fundusz, z którego urósł ów gmach.

Pewna skłonność do budowania, wznoszenia coraz wspanialszych kamienic, może zbyt pośpiesznie stawianych może nietrwałych, ale szybko wznoszonych i strojnie wyglądających, jest tu znamię chwili. Wznoszą się najnie spodzianie dzielnice całe ozdobne, o domach wygodnych, lokalach z dostateczną ilością powietrza, z podwórzami niezacieśnionymi, z nadzieją, iż wodę posiadać będą pietra, skoro zdobędziemy się na wodociągi. Takimi nowymi dzielnicami otoczyło się stare miasto dokoła; poza plantacjami, poza linią dawnych wałów i fos, oddawna znikłych, na zgłiszczach nędznych lepiarek, urosły nowe ulice.

Faktem jest tylko, iż mury zamkowego pałacu coraz bardziej zaciekają, w proch rozsypują się, pozbawione ręki pomocnej; znikąd jej nie widać. Również faktem jest, że sami myślimy nieco

o restauracyi wawelskiej katedralnej świątyni. Pociągnie to za sobą koszta olbrzymie, jak na prywatne środki ogółu niezamożnego. Kosztorysy wykazują, iż bez trzystu tysięcy guldenów odnowienie dokonane być nie może. Pierwsze kroki do zebrania potrzebnej sumy, od trzech lat czynione, jeszcze nie dały zadawalniających rezultatów; może z czasem czynność ta energiczniej się posunie. Zda się, że zanim do całej restauracyi wawelskiej katedry przystąpią, coś zamierzają zrobić w celu odnowienia Kaplicy Zygmuntowskiej, tego pod względem sztuki najpiękniejszego zabytku doby Odrodzenia.

Niegdyś kaplica królewska posiadała swe własne fundusze, uposażenia zasobne; dziś próżno by szukać uposażeń dawnych. W celu znalezienia chociaż częściowej pomocy dla zamierzonej restauracyi udają się do wiedeńskiego zarządu konserwatorów, opiekujących się zabytkami sztuki dawnej.

Ze jednak i środkami, funduszami własnymi umiemy, możemy coś zrobić, dowodem wymownym dokonana restauracya presbyteryum kościoła N. P. Maryi w Rynku. W ciągu kilku miesięcy kończących rok ubiegły, rozpoczynających obecny, dokonano tam odnowienia przedniejszej części tej świątyni. Wrócono do pierwotnego stanu presbyteryum, oszpeconego w ubiegłym wieku nieumiejętnym odnawianiem. Tak przynajmniej w zasadzie zamierzonym było; przy odnawianiu wszakże posunięto się dalej: nie poprzestano na powrocie do stanu pierwotnego; ozdobiono ściany freskami, piękniemi co do pomysłu i wykonania, ale dla wielu zbyt rażąco jaskrawymi. Jaskrawość barw, właściwość Matejki — który naczelne kierownictwo przedsięwzięcia miał w swej dłoni — zmieniła nieco charakter świątyni, nadając jej cechę innej cywilizacyi, z którą nie mamy nic wspólnego. Turyści, szczególnie przybywający od Wschodu, spostrzegają popolicie tę zbytęcną jaskrawość, która ich razi.

Wielu znawców sztuki również nie podziela zdań zachwytu nad polichromią, zdobiącą teraz presbyteryum Maryackiego kościoła: zdania są bardzo podzielone. W każdym razie dokonano dzieła pożytecznego; praca to dodatnia, na tem większe uznanie zasługująca, iż siłami wyłącznie miejscowemi wszystkich dokonano, iż malarze i kamieniarze krakowscy znaleźli pole do chlubnego popisu, iż pomysły do całej pracy nie z obcych wzorów czerpano, lecz przewodniczyła tu myśl swojska Matejki.

Ta próba, pomyślnie dokonana: odnowienia części kościoła Maryackiego, wywołała ofiarności nową jednego z tutejszych kapłanów, który, kilkanaście tysięcy ofiarowując na odnowienie głównej nawy świątyni, zachęcił do przedsięwzięcia dalszej restauracyi. Podjęto myśl z zapalem, i, bez względu, że nie ma jeszcze na całość pracy stosownych funduszy, nie wahano się przystąpić bezzwłocznie do robót. Prowadzą się one gorliwie; zczasem, gdy rzecz stanie u kresu, nie omieszkam donieść o jej dokonaniu...

Na początku drugiej połowy Lipca odbył się „drugi zjazd historyków“, a odbył się we Lwowie, zgromadzając około jednego stołu obrad przeszło stu pracowników, z których większa część oddaje się studjom mniej lub więcej ściśle połączonym z dziejami narodu w ich najszerszym zakresie. Do owego liczne grono pracowników obradujących Kraków dostarczył niemałego zastępu ludzi pióra.

Następny kongres historyków naszych, kto go doczeka, odbyć się ma w Krakowie, za lat dziesięć, t. j. w roku 1900. W dniach tworzących połowę tego dziesięciolecia, t. j. w r. 1895, postanowiono odbyć zjazd historyków w Krakowie, którego pracę zwołania weźmie na siebie Akademia Umiej. Krakowska, podobnie jak obecnie we Lwowie Towarzystwo historyków lwowskie grało rolę gospodarzy.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż d. 1-go Sierpnia 1890 r.

Dziwny stan atmosfery. — Niema tego złego, co by nie wyszło na dobre — Cudzoziemcy w Paryżu. — Historia o grającym Polaku. — Dobroczynność administracyjna. — Bieda i jej straszliwe skutki. — Tragiczna śmierć całej rodziny Hayen. — Żródło i następstwa tego stanu rzeczy. — Środki ochronne. — Święto narodowe 14 Lipca. — Rewie. — Nowe ćwiczenia. — Jak się przedstawia dziś wojsko francuskie. — Powrót lata. — Koniec roku szkolnego. — Wakały. — Ruch emigracyjny Paryżanów. — Nowa reforma uniwersytecka. — Minister oświaty. — Zniesienie stopni bakalarskich. — Znaczenie tej reformy. — Fakultet medyczny paryżki. — Cztery nowe lekarzy. — Panna Mendelsohn z Warszawy. — Nowy spacer konno z Warszawy do Paryża, pana Garczyńskiego. — Nowy tom powieści „Ames Slaves” Pani Toli Dorian. — Lodomeryjskie Amazonki i piorunująca filippika pani Seweryny.

(Dokończenie).

Uzbrojenie wojska zostało w ostatnich czasach wielce udoskonalonem, tak we Francji, jak w całej Europie — karabiny dzisiejsze sięgają daleko, i celują dokładnie, aż póki wzrok sięgnąć może. Nabijanie ich jest szybkie, dym prochu nie osłabia już dzisiaj strzelca. Należało więc, aby usunąć obawy i niepewności w tym względzie, pokazać i dowiedzieć, że jakkolwiek skromnem jest uzbrojenie dzisiejsze, żołnierz francuski nie opóźni swego marszu naprzód, i nie zmodyfikuje swego starego zapалу, stwierdzonego przysłowiem „Furia Franceses!” Otóż ten marsz naprzód, na tej rewii, wyraził to wszystko.

Publiczność mogła przekonać się zresztą, jaki postęp zrobiło wojsko na drodze ćwiczeń i udoskonalen wojennych. Dwadzieścia lat temu 18 lipca 1870 r., poseł francuski w Berlinie, złożył w ręce kanclerza konfederacji niemieckiej swe listy kładące koniec jego poselstwu. To wspomnienie musiało ciążyć do dziś samym Francuzom, przypominając im następne klęski i zawody; dziś patrząc na te kolumny wojska, ożywione takim starym francuskim zapalem, widząc te kompanie i szwadrony — każdy mógł sobie powiedzieć, że nie ma potrzeby się lękać powtórzenia podobnych katastrof, z tych lat straszliwych.

Pierwszy raz przytem widziano występujące świetnie wojsko rezerwy terytoryalnej — i powiedzmy prawdę — występujące gracko! A kraj, który ma w swych rękach takie narzędzie, jak ta rezerwa terytoryalna, może bez bojaźni patrzeć w przyszłość — i śmiało spojrzeć w oczy nieprzyjacielowi.

Patrząc zdaleka na tę masę wojska zebrane go na rewię, wśród tej zachwycającej, naturalnej dekoracji Bułofskiego Łasku, ja i wszyscy przytomni uderzeni byliśmy, tą sprzecznością barwy, jakąśmy widzieli, pomiędzy kolumnami wojska a niezliczoną masą publiczności, w jasnych i różnorodnych strojach — i różnaitością zieleni przesłicznego łasku.

Powiedzmy zaraz, aby wytłómaczyć tę sprzeczność, że wojsko dzisiejsze francuskie nie odznacza się wcale tym blaskiem, przepychem mundurów, ich jaskrawą barwą, jak wojska innych Państw Europy. Rzecz dziwna: w tej Francji, która kieruje modami świata — wojsko jaknajmniej okazałe — i co do barwy i co do kroju nawet swoich mundurów, dlatego, na przykład, przedstawione w wielkiej massie, jak na rewii, stanowi jakąś ciemną, szarą masę, wydatną jedynie w pewnych swych punktach, jak kiedy od piechoty przechodzi się do kawalerii, albo artylerii. Otóż kto wie, czy ten szary, jednostajny kolor szeregów, nie jest właśnie tą barwą przyszłości, która wobec tak przeważnej siły palnej broni zmuszoną jest starać się o złudzenie nieprzyjaciela i niestawianie mu przed oczy, zdaleka, jasnych i świecących punktów do celu.

Wspaniałe mundury, te ciężkie rynsztunki wojsk innych mocarstw, to jeszcze zabytki tej

przeszłości, gdy osobista odwaga i siła ramienia tak ważną odgrywały rolę, i gdy taki bohater był trochę zarazem aktorem, mogącym olśnić wzrok przeciwnika, tak swoją szablą albo bagnietem, jak błyszczącym kirysem albo bermycą — dziś to, jako zbyt cenne i nieużyteczne, kosztuje zbyt drogo.

Od kilku dni wróciła nam dawno oczekiwana pogoda. Wielki Paryż, wypróżnia się, jakby za wskazaniem laski czarnoksiężkiej. Gdzie i jak kto może, pośpiesza, byleby nie zostać na tym rozpalonym asfalcie; ktoby jednak, nie znając Paryża, zawitał w tej chwili, niezrozumiałby może tego, co się mówi o powszechnej dezercji jego mieszkańców: wszędzie tensam natłok, i tożsamo mrowisko, tażsama przesada w strojach, tensam ruch przy każdym wejściu, gdzie się opłacać trzeba, biorąc pieniądze całemi garściami. Jest to czas, gdy się spycha na ręce przyjezdnych gości wszystkie tak zwane *słowniki* (*Rosignols*), stare sztuki teatralne, stare materye wyszłe już z mody, starego kroju suknie i kapelusze i wreszcie tak zwaną „Starą Gwardyą“ (*La vieille Gard*). A niema ludzi na świecie, co by tak zręcznie umieli zbywać z rąk tę starzyznę i tumanie przychodnia. Jest to talent pierwszorzędnny i wrodzony Paryżanów i Paryżanek, którzy, gdy nie mogą okpić *obcego*, odbijają się na *swoim*. Na co tu się można napatrzeć codziennie, tego-by i na wołowej nie spała skóra. Pod względem pomysłowości są oni pierwsi w świecie i zostają już nimi zawsze, nie lękając się żadnego współzawodnictwa.

Jesteśmy tu w tej chwili w epoce wielkiego znaczenia dla każdej prawie rodziny. Jest to koniec roku szkolnego: examina, rozdawanie nagród — ważna epoka w życiu młodzieży, nawet „z końca wieku.“

Wszystkie zakłady naukowe zamknięte, rodzice wywożą z miasta całe zastępy młodsze go pokolenia. Daje się to we znaki przez dni kilka wszystkim podróżującym kolejami żelaznymi, całej służbie kolejowej. Ta jakby nagła plethora rozsada wagony i przeładowuje pociągi!

Nie same tylko zresztą naukowe zakłady posyłają swój kontyngens na wszystkie koleje, zbierające się w Paryżu, w tem drgającym sercu Francji. Jest to koniec roku a początek wakacyj, nie tylko szkół, ale i parlamentu i sądów. Biura się opróżniają, wszystko, co żyje, śpieszy na świeże powietrze, nad morze, w góry, a nawet często na koniec świata, byleby się wyrwać z tego piekielnego Paryża.

W tej chwili koniec roku szkolnego był tu niezmiernie ruchliwym w sferach świata uniwersyteckiego. P. Bourgeois, minister oświaty, (po mimo swego nazwiska) minister śmiały — ośmielił się podnieść zuchwałą ręką na arkę przymierza, na odwieczny stopień uniwersytecki bakalarza — i zmienił porządek i znaczenie examina prowadzących do tego stopnia.

Nie pierwszy to raz odważono się zagrozić tej starej instytucji zagładą; przecież zawsze rutyna potrafiła ją ocalić. Miejmy nadzieję, że i tym razem wyjdzie sucho z tej ministerialnej łaźni — jak ów stary szef biura, którego nowo mianowany dyrektor pytał z administracyjną ironią, jakby chcąc go wypchnąć za drzwi: — „A ile też lat służby, liczysz W. Pan?“ — „Nie pamiętam dobrze, — odpowiedział mu stary lis biurokratyczny — wiem tylko, że J.W. Dyrektor jest czternastym dyrektorem, odkiedy ja jestem w urzędowaniu!“

Już za drugiego cesarstwa, p. Fortoul, ówczesny minister oświecenia, pierwszy przypuścił atak, chcąc znieść ten obowiązkowy tytuł bakalarza dla każdego, co wstępował do służby rządowej — jakiegobądź rodzaju — oprócz marynarki, która przyjmowała młodzież, zaczawszy od lat szesnastu.

Pierwsza reforma zależała na tem, że wspólna instrukcja była obowiązującą tylko do klasy czwartej włącznie. Doszedłszy do tego punktu, chłopię obowiązane było wybierać z dwóch jedno: albo ciągnąć dalej nauki klasyczne, prowadzące do bakalarstwa tak zwanego; *ès lettres*; albo poświęcić się naukom ścisłym, prowadzącym do bakalarstwa *Ès sciences*. Nazywało się to „rozszczepieniem“, (*bifurcation*) naukowem... System

mat ten miał tę pierwszą niedogodność, że zdawał wybór zawodu naukowego na sąd chłopca, który tyle wiedział o zawodach, ile o gwiazdach na niebie. Pytać się chłopca dwunastoletniego: czy woli algebraiczne zrównania, czy tłómaczenie *Eneidy* — lub też *vice versa* — jest to tyle, co się pytać skazanego na śmierć: czy woli być powieszonym, czy na pal wbitym?

Znalazły się przytem inne jeszcze niedogodności dawnego systemu, słowem: dziś postanowiono go usunąć z drogi, gdzie zawadza, jak piąte koło u wozu, i postawić rzecz nową, a raczej wrócić do starej, zapomnianej bakalarskiej metody.

Dziś na miejsce obu bakalaureatów zniesionych, zostawiają jedność i wspólność naukową aż do retoryki, wzmacniając programat nauk ścisłych i pomnażając naukę, tak zaniedbaną we Francji, języków żyjących; wprowadzają też obowiązki zdawania trzech examina, zamiast dwóch dzisiejszych, a wreszcie zamiast bakalarstwa, przepisują obowiązkowe świadectwa odbytych nauk, i noty rady szkolnej (nauczycieli) dające kwalifikacyą i wstęp do obranego zawodu to jest zawsze *ès lettres* albo *ès sciences*.

Taką jest w głównych swych zarysach reforma uniwersytecka, która tu zajmuje wszystkie umysły i otwiera pole do niewyczerpanych rozpraw. Te zagadnienia i zagadki są to cechy końca wszystkich wieków; przypomnijmy sobie owe innego rodzaju reformy, które wypiastrowały koniec przeszłego wieku XVIII, a zgodzimy się łatwo na to, że trzeba zostawić czasowi wycisnienie na tej reformie pieczęci.

Nie wychodząc z obrębów uniwersyteckich, zapiszmy tu zajmującą wiadomość, że od dni kilku fakultet medyczny paryżki liczy w swoich szeregach cztery nowe lekarzy (doktorzy). Dają tymczasem imiona tych pał laureatek; obszerniejsze wiadomości, jeśli potrzeba się okaże, będę mógł zebrać później. Imiona są następujące: panie *Kujundzi*, *Frenkel*, *Winawer* i panna *Mendelsohn*. Ta ostatnia jest Warszawianką i w Warszawie też myśli się osiedlić i praktykować.

Młoda ta doktorka z wielką werwą i jasnością broniła swej rozprawy, której zadaniem było — jak utrzymują specjaliści i mój własny doktor — „trudnym orzechem do zgryzienia“. Temat rozprawy brzmi: „O potrzebie i warunkach użycia jodu w chorobach położniczych“. Doktorantka wyszła zwyciężką z tej próby i zebrała nawet wielkie pochwały całego fakultetu. Oddajmy więc jej i my sprawiedliwość i uznajmy zasługę.

Ponieważ mowa o Warszawie, o Warszawiankach, nie zapominajmy i tej szczególnej nowiny, którą mi przynosi naoczny świadek, a której dotychczas nie znalazłem w naszych ani w waszych dziennikach. We Środę 30 Lipca przybył do Paryża konno p. Włodzimierz Garczyński, rodem z Warszawy.

P. Garczyński miał wyjechać z Warszawy d. 21 Maja; przybywszy do Wiednia, zatrzymał się tam miesiąc czasu, nie dla wypoczynku, bynajmniej, ale dla wykonania rozmaitych wycieczek w piękne okolice nadnaddunajskiego grodu. Łaskawy przyjaciel dodaje, że koń p. Garczyńskiego, zowie się „John.“ Jest to *Vollbluth* angielski, urodzony w Petersburgu w 1885 roku. Jeśli następnie będzie coś szczególnego do zapisania w kronice tutejszego sportu o p. Garczyńskim i o jego koniu „Johnie“ — możecie być pewni, że nie omieszkam wam donieść. Tymczasem postaram się obaczyć człowieka i konia, i jakie będzie wrażenie — powiem. Panuje teraz moda tych konnych podróży, powrót do dawnych czasów; wszak niegdyś to u nas nie było innego sposobu podróżowania.

Ponieważ weszło tu w modę od pewnego czasu tłómaczyć i wydawać ruskie powieści, serya wyczerpała się prędko, bo zapas, niebogaty sam przez się, zmniejszył się jeszcze potrzebą konieczną robienia wyboru. Nie wszystko, co się pisze w literaturach obcych, nadaje się do tłómaczenia na francuski, tembardziej, że większa część tej belletrystyki jest zwykłym słabym i niedoładnym naśladowaniem francuskich mistrzów. Skarżę się więc teraz, że to jakby pokazywanie dywanów z odwrotnej strony — nie daje poznać

prawdziwej literatury obcej — o której tyle słyszano. Jeden z krytyków tutejszych mówi: „Większa część powieści, które nam przychodzą z tamtąd, są skrojone na jedną modłę, której wybitną cechą jest jednostajność (*monotonie*)“.

Dla zaradzenia temu, ruchliwsze pióra podjęły zamiar pisanie rzeczy *tak zwanych słowiańskich*, wprost po francusku. Rzecz była niełatwa. Wdzieliśmy jak wyszli na tem *les malins de la troupe* — taki Sacher Masoch, na przykład. Ale dla śmiałych była to kusząca próba — a więc *Audax Japeti genus*; jak zawsze, rzucił się śmiało do wody — próbując kto pierwszy dobieje do brzegu. Dotychczas nie widać jeszcze prawdziwego zwycięzcy, bo nawet autorka, o której mowa, choć jej nie zbywa na śmiałości i „czubie“ (*toupet*, jak mówią Francuzi), choć z francuzczyzną daje sobie radę, jakby rodzona Paryżanka, nie jest jeszcze tą, która odniesie palmę zwycięstwa.

Jesteśmy tu w dziedzinie piszących kobiet: wspomnijmy więc jeszcze o jednej rzeczy dosyć ciekawej. Oto w jednym z ostatnich numerów dziennika *Figaro* znajduję artykuł tak dziwnej treści i nastroju, z podpisem tak niezwykłym szpaltom golibrody, że przemilczeć o nim nie mogę, tembardziej, że się nas tycze.

Powiedzmy zaraz kilka słów o autorze artykułu, który ma całe zacięcie, jakby wystrząsł z rewolweru, co było i jest znaną tu cechą autorki. Artykuł podpisany prostym imieniem: „Seweryna“. Tutaj wiemy, „*quis* za górą!“ a i czytelnicy *Bluszczu* przypomną sobie może tę osobistość przyjaciółki i współpracownicy Vallèsa. W swoim czasie mówiłem o niej obszernie z powodu śmierci słynnego tu nieguys komunisty — i objęcia redakcyi *Ori du Peuple*, właśnie przez ową-to panią Sewerynę.

Ale przechodzę do artykułu *Figara*. Z wielką i szumną werwą, jak to jest zwyczajem pięknej Seweryny — wpada ona na kobiety za to, iż w prośbie podanej do cesarza austriackiego wyraziły się następnie:

„W tej chwili, kiedy każdy mężczyzna, młody czy stary, zmuszony jest do służby wojskowej, zdaje się nam, że kobiety, często silniejsze i odważniejsze od zniewieściałych mężów — niepowinny być wyłączane od tej powinności. Broń dzisiaj zrzęca i łatwa w użyciu. Prosimy zatem waszej cesarskiej mości, aby rozkazać raczył urządzić oddział *Woluntaryuszów Amazonek*!“

I tyle? — i tego dosyć autorowi artykułu, aby zmiać i zdusić jak myszy te zbyt odważne amazonki.

Czy ta prośba jest prawdziwym faktem? Nie o tem nie wiem, bo pierwszy raz z tego artykułu *Figara* dowiaduję się o istnieniu takiej dziwnej petycji. Zaden dziennik miejscowy, ani słowa o tem nie powiedział publiczności.

Jakkolwiekby, pani Seweryna chyba sama tego z palca nie wyssała. Redaktorkom petycji rzeczywistym czy urojonym, dostała się też chłosta, dostała! Odkiedy płeć piękna króluje na świecie, takiego ćwiczenia nie widziano jeszcze — bo nikt z płci brzydkiej nigdyby się nie ośmielił na tego rodzaju trzaśnięcie z bicia! Jest to ciekawy przyczynek do literatury niewieściej z końca naszego wieku i zalecam moim czytelnikom poznanie tego steku wymysłów — ma on za tytuł: *Les Viragos*.

— λ —

Kronika działalności kobiecej.

— Według sprawozdania departamentu lekarskiego w Petersburgu znajduje się obecnie w Kossyi 408 kobiet lekarzek.

— W sprawie otwarcia w Petersburgu kursów medycznych dla kobiet ministerium oświaty wysto-owało do Rady Miejskiej zapytanie: jakim funduszem może na ten cel rozporządzać? Odpowiedź brzmiała, że Rada posiada w gotówce 200.000 rs., prócz tego kupiec Morozow zobowiązał się dawać corocznie na rzecz kursów 5.000 rs. zasiłku.

— Kassa Mianowskiego pomocy dla osób pracujących na polu naukowem liczy między członkami swymi tylko 5 kobiet.

— „Gazeta Rzemieślnicza“ podnosi myśl poparcia domowego przemysłu kobiet wiejskich w Klembowie na Podolu w powiecie Jampolskim, których hafty złotem i srebrem na delikatnych tkaninach z białej wełny były tak bardzo podziwiane przed kilku laty w Warszawie na wystawie przemysłowej, a następnie w Londynie. Królowa Wiktorya ubrała się na bal dworski w suknię taką, wyrobu wieśniaczek klembowskich, których nauczycielką w pracy była zająca pani Wacławowa Mańkowska. Przemysł ten rozszerzył się na wsie okoliczne; lecz przepiękne te rzeczy nie cieszą się dostatecznym popytem: poczęto też obecnie wyrabiać tam rozmaite przedmioty w tym samym stylu: serwety, zarzutki, fartuszki, kamizelki, kołnierzyki i mankiety, oraz taśmy haftowane do ozdoby sukni.

— Na wystawie w mieście powiatowem w Krosnie, w Galicyi, otwartej w początkach bieżącego miesiąca, zaznaczyły się meble i różne przedmioty domowego użytku, plecione z wikliny, łozy i sitowia, oraz trzciny bambusowej, pochodzące z wiejskiej szkoły koszykarstwa we wsi Zarnowcu, założonej tam ofiarńczo groszem właścicieli wsi, pp. Biechońskich. Szkoła posiada wykwalifikowanego w zawodzie swoim nauczyciela, ale zadziwiająco szybkie postępy uczniów, oraz wyższy smak artystyczny ich wyrobów przypisuje prasa miejscowa pocziwemu zajęciu się szkołą p. Jadwigi z Czezelow Biechońskiej, która, nie szczędząc osobistego trudu, poziom szkoły podnosi. Między innymi przedmiotami zadziwiała zwiedzających ekrany bambusowe, doskonale naśladowujące ekran sprowadzony niedawno z Anglii i przez gminę krakowską ofiarowany arcyksięciu Rudolfowi. W ekranach zarnowieckich osadzone są wielce piękne hafty p. Xawery Chlebowskiej, nauczycielki szkoły robót w Krakowie, o której niepospolitem uzdolnieniu w zawodzie swoim i o szlachetnym smaku wiedzą już czytelnicy nasi.

— W Nicei umarła Ludwika Choquet Akermann, najznakomitsza poetka francuzka, nie tylko czasów ostatnich, posiadająca talent wysoki, ale posępny i przejęty wskroś pesymizmem. Rozwinięła się on bardzo wcześnie; już jako uczennica jednej z pensyi paryżkich zwróciła nieboszczka na siebie przez pisywane wiersze uwagę profesora literatury Juliusza Biscaret, który plody młodocianej jej muzy przedstawił Wiktoremu Hugo, wrózącemu także ich autorce świetną przyszłość. Uboga i wcześniej osierocona, potrzebująca pracy na chleb, udać się musiała w bardzo młodym wieku na obczyznę, jako nauczy-

cielka francuzkiego języka, pojechała do Berlina i tam wyszła za mąż, za Pawła Ackermanna pedagoga, a pomoc, jaką niosła mężowi w jego zawodzie, oraz praca kobieca u domowego ogniska, nie pozwoliły jej poświęcać się literaturze; mąż nie wiedział nawet o talencie żony, chowanym w tajemnicy. Po dwóch latach tak pędzonego życia owdowiała i znów samotna, pracować potrzebująca, porzuciła przecież Berlin i udała się do Nicei, gdzie powróciła do pracy nauczycielskiej, i obok zajęć swych zaczęła pisać nanowo, lecz utwory jej pióra, poezye, pomimo wysokiego polotu myśli i formy artystycznie pięknej, nie zdołały zyskać sobie uznania publiczności, bo zatrute gorzkim na życie poglądem, oraz niewiarą w Boga i człowieka, odstręczały tak czytelnika, że nie sympatyi zadzierzgnąć się nie mogła między poetką a czytającym ogółem. Autobiografia, którą zostawiła po sobie, odkrywa bolesne tajemnice samotnego, posępnie pędzonego życia, podtrzymywanego własną pracą do późnej starości, bo urodzona d. 30 listopada 1813 r. liczyła umierając lat 77. Pozostały po niej trzy tomiki poezyi, dzielących się na dwie części: *Poezje liryczne* i *Poezje filozoficzne*. Tym ostatnim zwłaszcza przyznać trzeba bardzo wysokie zalety i krytyka francuzka nazwała je „perłami tegoczesnej poezyi.“ Szczególniej pięknych jest pięć utworów: „Nieszczęśliwi“, „Potop“, „Okrzyk“, „Pozytywizm“, „Chmura.“

— W paryżkiej szkole dentystyki ukończyły całkowite kursa i otrzymały dyplomy pp.: Zofia Chaniecka i Teodora Wintermanówna z Warszawy, Ludwika Polewiczówna z Dubna, Antonina Frankowska z Sandomierza. Ta ostatnia wstępuje do uniwersytetu na studia medyczne.

— Francuzkie stowarzyszenie: *Société d'Encouragement au bien* przyznało wielką nagrodę Zofii Schill. Kobieta ta bohaterko dała sobie wykroić z ramienia kilka płatków ciała, potrzebnych do uratowania życia jej synka, który, spadłszy z wysokiego miejsca, tak głowę sobie rozbił, że mógł zostać odkryty i można go było osłonić tylko ciałem ludzkim. Dała je matka, bo dziecko było za słabe, aby można było dopełnić operacji na niem samym.

— Jak siła jest nieraz potrzebną do mężnego spełniania tak pracy życia, jak jego czynów bohaterkich, dowodzi świeżo fakt ocalenia życia ojca przez córkę. Miss Morey, córka angielskiego plantatora w Bengalu, jechała wraz z ojcem konno, gdy nagle z zarośli wyskoczyła pantera i, rzuciwszy się na jadącego przodem jeźdźcę i konia powaliła obu na ziemię. Już się miała spełnić rzecz straszna — pazury zwierza już miały pochwycić spadłego z konia i omdlałego człowieka, gdy córka pośpieszyła z bohaterską pomocą. Nie posiadająca przy sobie broni żadnej, rzuciła się jednak mężnie pomiędzy ojca i krwiożercze zwierzę, lecz na szczęście pies brytan, którego miała przy sobie rozpoczął już uprzednio walkę z panterą, a ona tymczasem, pochwyciwszy ojca w ramiona, uniosła go w zarośla, następnie pośpieszyła do pobliskiego strumyka i zaczerpniętą tam wodą zdołała ocucić omdlałego, który strzelił wtedy do pantery, pastwiącej się jeszcze nad zagryzionym brytanem. Gdyby nie siła fizyczna, która dała poparcie szlachetnej mocy ducha, czyn jej ofiary miłosnej byłby pozostał bezowocnym, bo tylko uniesienie omdlałego było ocaleniem.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: *Administrator*, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej.

TREŚĆ: Pogawędka. — Walka Tytanów, przez J. Nitowskiego (dalszy ciąg). — Letnia wycieczka. — Korespondencya zagraniczna (Kraków). — Nowiny Paryżkie (dokoń.) — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty powieści, pod tytułem: *Administrator*, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej. — Przegląd mód. — 33 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.